

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (12)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Na połówce kartki A4 poeta odpisał na maszynie: „Szanowny Panie, istotnie dochodzą mnie dość liczne głosy, podobne do Pańskiego listu (...). Ta szczupła (pojemnościowo, choć chyba gęsta) książeczka wzbudziła silnie umysły co wrażliwszych i głębiej myślących czytelników. I Pan się do nich zalicza: nie dziwota, skoro jest Pan poetą. Ale zaszczepnie dziwne to, że Pan myśli obsesyjnie o sprawach ostatecznych w 27 roku życia, gdyż zazwyczaj wychodzą tym sprawom naprzeciw ludzie dłużej doświadczeni wiekiem. Parę wierszy związanych w liście utwierdziło we mnie obraz Pańskiej postawy poetyckiej poddanej temu samemu ciśnieniu, pod którym stworzona »Godzina X«. Piszemy wiersze po to, aby zaprzeczyć umieraniu, aby zaprotestować przeciw umieraniu, to postawa godna poety.” Odręczny podpis – Jalu Kurek.

Poeta zmarł jeszcze przed wydaniem „Pochodni”, w 1983 r. w Rabce, choć zdążył do tego wydawnictwa napisać wstęp. Jego osobliwe imię zostało mu nadane przez ojca, a wywodziło się od rzeki Yalu, stanowiącej granicę między Chinami a Koreą. Do twórcy Awangardy pasowało jak ulał. Ktoś, chyba ze środowiska krakowskiego, opowiadał mi, że „Godzina X” powstała po zawale czy innym traumatycznym przeżyciu, jakiego pod koniec lat 70. doznał poeta. Widać było to dla niego mocne, głębokie i bolesne doświadczenie. Zawsze zastanawiało mnie, w jaki sposób przeżył własną śmierć (wiem, to nietrafne sformułowanie, ale jakie będzie lepsze?) twórca tak znakomitej wivisekcji odchodzenia.

Jalu Kurek, ur. 27 lutego 1904 w Krakowie – zm. 10 listopada 1983 w Rabce. Poeta i prozaik, dziennikarz. Ukończył polonistykę i romanistykę na UJ w Krakowie. Przed II wojną związany z Awangardą Krakowską. Laureat Nagrody Młodych PAL za powieść społeczno-obyczajową z życia wsi małopolskiej pt. „Grypa szaleje w Naprawie” (1934).

Romuald Mieczkowski

Romka – wtedy jeszcze mieszkańca Wilna – poznałem w klasztorze pokamedulskim nad Wigrami; mieścił się w nim kiedyś ośrodek pracy twórczej Ministerstwa Kultury. Co roku we wrześniu odbywały się tam plenery malarskie „Sztuka i środowisko” (od 1977 roku), przekształcone potem w międzynarodowe seminarium pod hasłem „Kultura i środowisko”. Brałem w nich udział najpierw jako dziennikarz, później uczestnik, a w końcu zostałem współautorem (z Andrzejem Strumiłłą) książki dokumentalnej o tym zdarzeniu. Podczas jednego z seminariów, gdzieś pod koniec lat 80., prof. Strumiłło przedstawił Lidii i mnie Romualda Mieczkowskiego, poetę i dziennikarza z Wilna, nieomal mojego rówieśnika. Wszyscy uczestnicy „Kultury i środowiska”, a do nich należał Mieczkowski, mieszkali podczas tej prawie dwutygodniowej debaty w klasztornych eremach. Tam też umówiliśmy się w przerwie obrad na rozmowę. Romek podjął nas w swoim pokoju, częstując herbatą (woda była oczywiście gotowana grzałką), a że nie było w pobliżu cukru, zaproponował, żeby posłodzić herbatę wkruszoną do niej... czekoladą. Mógł to być rok 1987, a może i 1988.

Pierwszy ów kontakt zaowocował ciekawą i wieloletnią współpracą nie tylko moją z Romualdem, ale i środowiska literackiego Białegostoku z grupą wilnian. Po dalszych paru latach owocem tych kontaktów była m.in. wizyta czwórki wileńskich poetów w Ogrodzie sztuk (21 maja 1998), nie mówiąc o licznych publikacjach i wielu przedsięwzięciach; dziś nie sposób ich wszystkich spamiętać. Za najważniejsze uważam to, iż dowiedziałem się o istnieniu licznej mniejszości polskiej na Wileńszczyźnie (około 270 tysięcy rodaków), w tym grona poetów skupionych w kółku literackim przy redakcji dziennika „Czerwony Sztandar”, drukowanego po polsku. Niedługo potem, jako przedstawiciel środowiska pisarzy białostockich, na zaproszenie kółka jechałem już do Wilna (współ z poetą Janem Leończukiem), gdzie poznałem wszystkich członków polskiej grupy; zaliczyłem wraz z nimi umowy szlak mickiewiczowski (z Nowogródkiem i Świteżą łącznie). Wyjaśniam: dopóki istniał ZSRR, nie było granic państwowych między Litwą a Białorusią. Bez problemów można było pojechać z Wilna i Jaszun do Bieniakoni, Nowogródka, nad Świteż, do której zresztą wszedłem po kolana i kazałem sobie zrobić zdjęcie na dowód obecności (nie zachowało się). Nad Świteżią opalały się rozneglizowane dziewczyny, zaś na tajemniczej powierzchni jeziora kołysały... rowery wodne. Szlak mickiewiczowski zaliczyliśmy 10-osobowym busem (załatwionym u dyrektora kołchozu, Polaka). Pamiętam egzamin, jaki z twórczości Mickiewicza zrobił nam po drodze Ryszard Maciejkianiec, późniejszy prezes Związku Polaków na Litwie, dobrze zapamiętałem również poprzedni (sztuczny, bo nieprawdziwy) dom Mickiewiczów w Nowogródku oraz pasudne zaopatrzenie w tym mieście. Ale i wkruszając wziętą w nowogródzkiej farze, przed którą stał tłumek miejscowych Polaków (– Wołajcie

księdza! – taka była reakcja na widok Polaków z kraju). W Bieniakoniach poznałem Michała Wołosewicza, stróża miłości Maryli i Adama. Odwiedziliśmy słynny lasek (to 2 km w bok od Bieniakoni, w kierunku Tuhanowicz), gdzie podobno Maryla Wereszczakówna spotykała się z Mickiewiczem przyjeżdżającym konno z Kowna. W lasku leży głaz, w którym ona, czekając na niego, ryła linię poziomą, a on zaś, gdy jej jeszcze nie było, wydułbywał pionową. Powstał krzyż. Przez cały ten czas (nie tylko w tej podróży) podpuszczałem moich przyjaciół poetów, żeby zrzucili z siebie to „jarzmo Mickiewicza”. Nie udało się namówić ich do tego kroku. Po wycieczce zrozumiałem, że to chyba niemożliwe.

Z pobytu na Wileńszczyźnie przywoziłem, jeśli się nie mylę, kilogram wierszy! Autorami byli, nieznanymi w Polsce, początkujący autorzy, głównie z kręgów kółka literackiego. Niektórzy z nich mieli za sobą debiut w wydanej w 1985 roku w Kownie antologii „Sponad Wilii cichych fal”. To bardzo ważna, pierwsza powojenna polska książka poetycka nie tylko na Litwie, ale w całym, istniejącym jeszcze Związku Radzieckim! Obecnie rarytas! Postanowiłem pomóc kolegom po piórze. Przywiezione utwory przepisywałem przez kalkę i rozsyłałem do redakcji pism literackich i kulturalnych w kraju. Dołączałem szkic, notę, w zależności od zamówienia redakcji (patrz hasło: M. Wawrzkiwicz).

W rewanżu moi nowi wileńscy znajomi przy kolejnej okazji odwiedzili się, jak mogli, czyli oprowadzeniem po Wilnie, licznymi opowieściami historycznymi i biograficznymi (tu brylował Wojciech Piotrowicz, matematyk-poeta), pośredniczyli w nawiązywaniu następnych znajomości, prowadzili niekiedy tam, gdzie trudno było się dostać: na przykład zakamarkami do celi Konrada; kilka lat później czytałem w niej swoje wiersze! Na samą myśl o tym do dziś ciarki chodzą mi po plecach...! Albo na cmentarz antokolski, na grób zastrzelonego przez swoich w 1944 roku poety Teodora Bujnickiego, lub do kościoła bazylianów pełnego rusztowań, przed którym leżała hałda żużla. Muszę zaznaczyć – mowa o pierwszym okresie naszych kontaktów, czyli latach 80.! – że wtedy nie istniała dzisiejsza komercja i organizacja życia pod turystów, jak dziś. Stare miasto było raczej zapuszczone, cmentarze podniszczone, zaś w kościele patrona Litwy, św. Kazimierza, istniało Muzeum Ateizmu.

Poeci wileńscy przyjeżdżali także do nas. Przede wszystkim ścigałem ich do Białegostoku, gdzie w KAW-ie planowałem wydać almanach poezji znad Wilii i Wilejki (zwanej Wilenką), lecz z czasem sami znaleźli drogę do Warszawy i innych ośrodków wydawniczych. Łatwo „się sprzedawali”, gdyż jako twórcy byli w kraju wygłodniałym wieści „z kresów” atrakcją samą w sobie.

Nierzadko odnajdowali po latach rodzinę, poszukiwały ich miasta, gdzie osiedlili się dawni kresowianie, zaczęto drukować ich tomiki; główne ośrodki tego ruchu prowileńskiego stanowiły Zielona Góra (Henryk Szylkin) i Warszawa (Romuald Karaś).

cdn.